

Bałkańska majówka



Stanęliśmy na najwyższych szczytach Węgier i Chorwacji, byliśmy na przedwierzchołku Maglicia oraz popływaliliśmy w Adriatyku. Następny wyjazd będzie jeszcze ciekawszy!

Szymon Baron

Tegoroczne plany na długi weekend majowy były bardzo ambitne, bowiem chcieliśmy wejść na najwyższe szczyty Bośni i Hercegowiny, Chorwacji i Słowenii. O tym, że było ambitnie niech świadczy fakt, że powyżej 2000 m n.p.m. wciąż zalega mnóstwo śniegu, a my chcieliśmy tego dokonać w niecałe 6 dni...

Niestety, jak to zazwyczaj bywa, wszystkie plany wzięły w łeb... Zamiast w południe, wystartowaliśmy z Bielska-Białej po 17.00. Oznaczało to, że mamy już kilka godzin opóźnienia, a do tego kierowca będzie musiał zrobić dłuższy postój na drzemkę. Na wstępie zrezygnowaliśmy więc ze słoweńskiego Triglava, obiecując sobie, że spróbujemy wrócić do niego w czasie wakacji.

Naszą majówkową ekipę stanowiło 8 osób: Monika, Aga K. i ja (PTT O/Bielsko-Biała), Rafik (PTT O/Tarnów) oraz Aga W., Artur i Kuba z Bielska-Białej oraz Maciek, kierowca i właściciel busa, którego serdecznie wszystkim polecam.

Na początek, mało ambitnie ruszyliśmy na Węgry, by wyjechać busem niemal na wierzchołek Kekesa (1014 m n.p.m.), najwyższego szczytu tego kraju. Dotarliśmy tam grubo po 22-giej, dzięki czemu zaoszczędziliśmy na opłacie parkingowej. W kilka minut zaliczyliśmy szczyt (bo o zdobyciu w tym przypadku nie może być mowy), wykonaliśmy kilka pamiątkowych zdjęć, głównie tym, którzy tu jeszcze nie byli, po czym ruszyliśmy dalej.

Wjeżdżając do Serbii mieliśmy doskonałą okazję, aby przypomnieć sobie, jak wygląda odprawa paszportowa. Wszak nie cała Europa należy już do strefy Schengen... W międzyczasie trasa z nizinno-wyżynnej zmieniła się w typowo górską z całym mnóstwem serpentyn, tuneli i pięknych widoków. Znaleźliśmy się na terenie byłej Jugosławii i pomimo, że minęło już ponad 15 lat od zakończenia wojny domowej, wciąż na wielu budynkach można zobaczyć ślady po kulach... Tak blisko, tak niedawno – przerażające...

Nieco po południu dotarliśmy do Wiszegradu, miasta położonego na terenie Bośni i Hercegowiny, wpisanego na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Mimo wskazań GPS-u nie udało się przejechać rzeki Driny zabytkowym mostem Mehmeda Paszy Sokolovicia. Okazał się być zamkniętym dla ruchu, a nas czekał kolejny postój. Z Kubą udaliśmy się do punktu informacji turystycznej, gdzie dowiedzieliśmy się wielu ciekawostek na temat mostu zbudowanego w XVI wieku, a także o po-



Góry Dynarskie

chodzącym z tego miasta Ivo Andricu, który został w 1961 r. uhonorowany Nagrodą Nobla w dziedzinie literatury. Dowiedzieliśmy się również, że niedaleko jest nowy most, który widać z tego starego oraz że to standardowe pytanie, bowiem wszyscy jadący z GPS-em mają ten sam problem... Życie...

Pierwszą „prawdziwą” górą, którą chcieliśmy zdobyć był Maglic (2386 m n.p.m.), najwyższy szczyt Bośni i Hercegowiny. Ponieważ planowaliśmy go zdobywać od strony czarnogórskiej (ponoć łatwiej), wąską górską dróżką skierowaliśmy się do granicy w Šćepan Polje. Droga ta przypomina bardziej trasę dla kozic, niż dla samochodu osobowego, nie mówiąc już o możliwości wymijania się na niej, tym niemniej natknęliśmy się na patrol miejscowej policji, która nie mogła zrozumieć, że na Maglicia chcemy wejść od strony czarnogórskiej, a także na kilka krów, które nie przejmując się międzynarodowym charakterem tej jednopasmowej trasy wędrowały środkiem drogi...

Przed szesnastą dotarliśmy do Mratinje, które nijak nie przypominało miejscowości oznaczonej grubą czcionką na naszej mapie. Znajduje się tu wiele fundamentów po zniszczonych domach, nie ma sklepu, poczty, czy szkoły – słowem, górską wioska odcięta od świata. Od miejscowych dowiedzieliśmy się, że budynki zburzono z błahego powodu – po prostu się waliły, a my możemy przespać się

w namiotach u nich w ogródku – znalazło się i miejsce na naszego busa.

Następnego dnia wstaliśmy o 5:30 i po porannej toalecie, śniadaniu i przygotowaniu prowiantu na drogę, nieco przed siódmą rano wyruszyliśmy na trasę. Szlak początkowo biegnie lasem, a po wczorajszym wywiadzie wśród miejscowych, zdecydowaliśmy się na trasę z lewej strony najbliższego szczytu. Na wybieżce wybiera się z nami psina gospodarzy. Po wyjściu dość wyraźną ścieżką ponad granicę lasu dotarliśmy do dużego płatu śniegu, po przejściu którego idący z samego przodu Kuba zdecydował się na wspinaczkę bokiem piarżyska. Kamienie uciekały nam spod stóp, a wy-



Zdjęcia: Szymon Baron



Z tyłu Maglic (2386 m n.p.m.), najwyższy szczyt Bośni i Hercegowiny

rażniej ścieżki jak nie było, tak nie było. Po przejściu piarżyska, które pochłonęło nam 2 godziny, stanęliśmy przed dylematem, w którą stronę ruszyć. Analizując teren oraz mapę zdecydowaliśmy się na ostre podejście trawiastym stokiem do góry, które zakończone było dużym płatem śniegu. Cały czas towarzyszył nam pies...

Po wejściu na grań okazało się, że śniegu jest tu jeszcze więcej, więc z mapą w ręku ruszyliśmy dalej, przed siebie w stronę Maglicia. Po dojściu na przełęcz, z której powinno być widać wierzchołek, okazało się, że nic z tego. Stara rosyjska mapa, którą mieliśmy miała dużo mniejszą skalę, niż nam się wydawało... W końcu po ponad ośmiu godzinach dotarliśmy na szczyt, z którego, jak na wyciągnięcie ręki widać było nasz cel... Niestety, była już 15:40 i podjęliśmy trudną decyzję o odwrocie, aby przed zmrokiem zejść śnieżnym poletkiem, które tak dało nam w kość przy podejściu... A psina dalej nam towarzyszyła...

Dojście do śnieżnego poletka przebiegło sprawnie. Na miejscu Rafik założył stanowi-



sko i w dół zesłaliśmy z asekuracją... Czekały raki, lina... Ekspozowane śnieżne poletko zabrało nam trochę czasu, bowiem rozpoczynaliśmy zejście, gdy poprzednik był już na dole.

Do lasu dotarliśmy po zmroku i z czołówkami na głowach wróciliśmy do samochodu o 21:40. Kuba z Arturem, którzy zeszli wcześniej, czekali już na nas z kolacją. Dzięki chłopaki!

Ponieważ na wstępie zrezygnowaliśmy z Triglava, kolejny dzień potraktowaliśmy ulgowo i udaliśmy do Dubrownika. Niestety, miasto nie było dla nas zbyt taskawe - cały czas lało, a do tego nie mogliśmy znaleźć wolnego miejsca parkingowego. Wobec tego wyjechaliśmy samochodem na górujące ponad Dubrownikiem wzgórze, z którego obejrzelśmy piękną panoramę tego położonego nad morzem miasta oraz kilku pobliskich wysepek. Widoki przepiękne.

Ruszyliśmy dalej wzdłuż wybrzeża, w stronę Makarskiej. W międzyczasie przestało padać, więc zdecydowaliśmy się zatrzymać na kąpiel w Adriatyku. Była jeszcze przykra przyгода - zgubiły nam się klucze od samochodu i dopiero po przeczesaniu całego busa i większości bagaży, za czwartym podejściem klucze odnaleźliśmy na plaży... Całe szczęście, bo dziwnie wyglądałby nasz powrót...

Kontynuując podróż wzdłuż wybrzeża, ku naszemu zdziwieniu, powróciliśmy na teren Bośni i Hercegowiny. Okazuje się, że w wyniku ustaleń powojennych państwo to dostało 20-kilometrowy dostęp do morza. Przy okazji zatrzymaliśmy się na miejscowy obiad i spafaszowaliśmy ryby z podpieczonymi ziemniakami, bo kelner nie bardzo chciał zrozumieć, że wolimy frytki...

Po pewnym czasie powróciliśmy na teryto-

rium Chorwacji, by autostradą udać się w kierunku miejscowości Knin i dalej przez Kijevo do Glavaš, położonego u stóp Dinary (1831 m n.p.m.). Po dojechaniu na miejsce rozbiliśmy namioty nie mogąc się doczekać na jutrzejszy dzień, kiedy to wybierzemy się na ten najwyższy szczyt Chorwacji.

Kolejnego dnia pobudka była jeszcze wcześniej, o piątek rano. Co ciekawe, pomimo tak wczesnej pory nasze namioty były suche. Nie było ani rosy, ani nie zaparowały od naszych oddechów. Cóż, inny klimat... Tradycyjnie przed siódmą byliśmy już na szlaku, a według drogowskazów czekały nas cztery godziny wędrówki na szczyt.

Tym razem nie jeden, a dwa psy towarzyszyły nam na szlaku. Pierwszy postój odbyliśmy przy ruinach zamku z XV wieku, pamiętki czasów, kiedy Chorwacja była zagrożona inwazją turecką. Zrobiliśmy kilka zdjęć, stołce zaczęło nam doskwierać, a był to dopiero początek dnia. Ku naszemu zaskoczeniu szlak przebiegał początkowo przez las liściasty, po minięciu którego wychodzi się na otwartą przestrzeń - trawy, kamienie, skały, brak źródeł wody, gorąco...

Szlak był dobrze wyznakowany czerwoną kropką z białą obwódką i przebiegał cały czas w górę do kolejnego, tym razem nietypowego lasu. Las ten wyglądał dziwnie, drzewa nie posiadały liści, sprawiając wrażenie wymarłych. Tutaj zrobiliśmy przerwę na drugie śniadanie.

Powyżej lasu, skacząc z jednej skalnej płyty na drugą, po lewej mijając krater, doszliśmy do kolejnego piętra z roślinnością - tym razem dobrze nam znaną z tatrzańskich szlaków kosoźródlinową.

Na Vrh Dinarę, najwyższą, dwuwierchołkową górę Chorwacji weszliśmy o 12:30, o wiele później, niż wynikało to z drogowskazów. Oczywiście, dwa psy dotarły tu z nami... Dziewczyny odnalazły skrzynkę z zeszytem wejść, do którego wszyscy się wpisaliśmy, a po zrobieniu pamiątkowych zdjęć na obu wierzchołkach, ruszyliśmy w dół.

Budynek, położony na wysokości 1300 m n.p.m., który zostawiliśmy z boku podchodząc do góry, okazał się dobrze mi znanym z rumuńskich szlaków *refugio*, czyli schronem. Można tu było znaleźć prycze do spania, kartusze gazowe, a nawet nieotwarte miejscowe piwo. Po powrocie do busa zaczęliśmy się zbierać do powrotu.

O drodze do kraju nie mogę napisać zbyt wiele. Spałem sobie smacznie na podłodze w busie, nikt mnie nie niepokoił, a ponieważ od Słowenii do Polski nie ma ani jednej kontroli granicznej, obudziłem się gdzieś w Czechach, blisko polskiej granicy. Do Buczkowic wróciliśmy około ósmej rano.

Wyjazd można uznać za udany - stanęliśmy na najwyższych szczytach Węgier i Chorwacji, byliśmy na przedwierzchołku Maglicia oraz popłynaliśmy co nieco w Adriatyku. Liczę, że następny wyjazd będzie jeszcze ciekawszy!